

**LEO
VARDIASHVILI**

**NA SKRAJU
WIELKIEGO
LASU**

**PRZEŁOŻYŁA
EWA BORÓWKA**

MARGINESY

Hard by a Great Forest

COPYRIGHT © 2024 BY Leo Vardiashvili

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Borówka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2025

Moim rodzicom – Tinie, Malkhazowi i Ketino.

*Choćbym żył tysiąc lat,
nie dorównałbym wam odwagę.*

Człowiek bez przeszłości jest jak drzewo bez korzeni.

ANZOR SULIDZE

– Gdzie Eka? – pytaliśmy pewnie z tysiąc razy.

Nasza matka została, żebyśmy my mogli uciec.

Bo wiesz, wojna przyćmiewa wszystko. Człowiek przekonuje się, że niosąca się po jego ulicy seria z AK-47 unieważnia wszelkie inne troski. Nocami słyszeliśmy wystrzały, a rano widzieliśmy na chodnikach połyskujący mosiądz, jakby na Tbilisi zamiast kropel deszczu spadły łuski. Da się przeżyć – myślisz.

Gdy jednak zabłąkany pocisk z lufy czołgu przekracza barierę dźwięku tuż za oknem sypialni i przy wtórze krzyków likwiduje narożny spożywczak i całą mieszkającą nad nim rodzinę, człowiek zaczyna snuć plany. Nasi rodzice, Irakli i Eka, choć rozwiedzeni, postanowili wydostać nas wszystkich z kraju.

Ucieczka wiązała się z przekupywaniem szemranych typów, podrobionymi pieczętkami i fałszywymi kwitami. Wyskrobane przez rodzinę pieniądze ledwie wystarczyły na wyjazd jednego dorosłego z nami, dziećmi. Eka nie miała nawet paszportu. Nie mogliśmy uciec razem.

Tymczasem wojna domowa przybierała na sile, nie dziwiły już ślady po kulach w znajomych miejscach i na znajomych ciałach. Nadeszła na nas pora. Eka została, a my uciekliśmy pod opieką Irakliego.

I tak oto zostaliśmy bez matki, Sandro i ja. Ja miałem osiem lat, a Sandro był dwa lata starszy. Na tym etapie dwa lata to cały ocean doświadczenia. Mimo to nawet Sandro nie miał zielonego pojęcia, co oznacza życie bez matki, nie wiedziałem tego też ja.

U kapitalistycznych wybrzeży Zjednoczonego Królestwa bynajmniej nie witano nas fanfarami. Trafiliśmy prosto do ośrodka dla uchodźców w Croydon. Na korytarzach tego zimnego magazynu, królestwa piętrowych łóżek, wspólnych toalet i bonów żywnościowych, straszyły pełne niepokoju twarze.

W końcu gdzieś w głębi maszyny Home Office zaskoczył trybik, wyświetlił się napis i przyznano nam status uchodźców, a naszą kartotekę opatrzono napisem: „Tottenham, N17”.

Na tym wczesnym etapie miotaliśmy się po mieście całkowicie nam nieznanym. W 1992 roku Tottenham nie przypominał Londynu z naszych wyobrażeń. Nie było tam cylindrów, smogu, Holmesa, Watsona, dam, dżentelmenów ani popołudniowej herbatki. Nie w naszym świecie.

My mieszkaliśmy w innym Londynie. W naszym Londynie ludzie przeklinali, spluwali, pili, awanturowali się i wybuchali nerwowym śmiechem. Wymawiali dziwne słowa i akcentowali je w nieokreślony sposób. Chodzili zgięci pod ciężarem triady: opłacić rachunki, wykarmić ileś tam gąb, związać koniec z końcem.

A wśród nich chodził nasz tato. Nasz Irakli – człowiek, który wypłynął w morze bez kompasu, poszukujący kobiety, którą zdołał dwukrotnie utracić. Najpierw utracił Ekę wskutek owianego tajemnicą rozwodu. A potem wskutek wojny domowej, która na powrót ich połączyła i natychmiast rozdzieliła.

– Gdzie Eka?

– Jeszcze trochę, chłopcy. Odzyskamy ją – odpowiadał Irakli. Wówczas ta obietnica nie była kłamstwem.

Harował, żeby wykupić Ece drogę ucieczki. Zbierał owoce, malował ściany, zappełniał regały w magazynach, mozolił się i pocił w rozsianych po północnym Londynie anonimowych, pozbawionych okien fabryczkach.

Te fuchy wyniszczały go subtelnie, ale na najbardziej podstawowym poziomie. Obserwowaliśmy, jak zanika. Kiedyś zasnął przy stole, z łyżką w uniesionej ręce. Śmialiśmy się do rozpuku. Żeby odrzec coś ze znaczenia, czasem trzeba to obśmiać.

Trudno uzbierać tysiące funtów. Jeszcze trudniej wysłać to, co się uciulało, do kraju stojącego w ogniu. Gruzja pożerała własny ogon – nie działały banki, nie było usług pocztowych. Ci z nas, którzy uciekli, nie kwapili się do powrotu do strefy wojny.

Irakli sobie tylko znanym sposobem namierzył kogoś, kto zgodził się za odpowiednią opłatą polecieć z powrotem. Był nim wysoki, szczupły mężczyzna o poważnym spojrzeniu. Wydawał się uczciwy i mówił to, co należało. Należycie trzymał też papierosa. Jadł i pił, cośmy mu podawali. Wziął pieniądze przeznaczone dla Eki i odszedł pośród uśmiechów i uścisków dłoni. Na pewien czas przestaliśmy pytać, gdzie Eka.

Nie pamiętam nazwiska uczciwego człowieka, ale chyba z tysiąc razy marzyłem, że ginie z mojej ręki. Eka nie dostała pieniędzy, a uczciwy człowiek już się więcej nie pokazał. Irakli pił i którejs nocy usłyszeliśmy z naszego pokoju, jak rozwala stolik kawowy. Nazajutrz rano przekonaliśmy się, że stolik został sklejonny, a Irakli wrócił do pracy.

Jego starania na rzecz kupienia nam matki stawały się coraz bardziej gorączkowe. Zza zamkniętych drzwi dobie-

gały stłumione rozmowy, toczone czasem po gruzińsku, a czasem łamaną angielszczyzną, często kończące się jego wybuchem.

W różnych miejscach domu znajdowaliśmy dziwne tropy. Kable telefoniczne wyrwane z gniazdek, nietypowe wgniecenia w sztukaterii, pokreślone na czerwono wyciągi bankowe, podarte i wciśnięte pod sofę, ledwie widoczne odłamki naczyń, roztrzaskanych i pospiesznie zamiecionych.

– Tata niedojda – powtarzał tylko. – Ale ze mnie niedojda.

Wtedy nic z tego nie rozumieliśmy, ale rozumiemy teraz. Irakli robił, co w jego mocy, żeby kupić Ece wolność. I przegrywał.

– Gdzie Eka? – Nie chcieliśmy dopytywać, ale to było silniejsze od nas.

– Pracuję nad tym, chłopcy.

Po niespełna roku od przyjazdu do Londynu zaczęliśmy chodzić do szkoły, a to kosztowało. Tej samej zimy zepsuła nam się stara pralka – i to kosztowało. Irakli niechcący upuścił sobie na stopę betonowy pustak i przez dwa chude miesiące nie mógł pracować. To kosztowało krocie. Część pieniędzy faktycznie trafiała do Eki, ale stale za mało. W Gruzji też wszystko kosztowało. I tak to szło.

Przez sześć kolejnych lat stopniowo traciliśmy Ekę. Traciliśmy ją na rzecz rachunków za gaz, zakupów w spożywczym, biletów autobusowych, piórników, książek i mundurków.

Obietnica Irakiego stopniowo zastygała, aż w pewien słoneczny styczniowy poranek zadzwonił telefon. Eka nie żyje. Odetchnęliśmy cicho, z niepozbowioną poczucia winy ulgą. Nie trzeba już było dopytywać. Irakli mógł zaprzestać składania kłamliwych obietnic.

My brnęliśmy mozolnie przez mazistą, beżśnieźną brytyjską zimę, a jemu jakby ktoś zakręcił regulator. Gdy zносиło go do jakiegoś wnętrza, stawał bez ruchu, rozglądał się i wychodził. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w telewizor, z zimnym kubkiem kawy w dłoni. Naczynia przestały znikać.

Tamtej zimy tato postarzał się o dziesięć lat, na naszych oczach. Od ulgi przemieszanej z poczuciem winy raptownie posiwiały mu wszystkie włosy. Nigdy przy nas nie zapłakał, ale często wypadał z pokoju, jakby gnany pilną sprawą.

– Trafił cię kiedyś piorun, kolego? – zapytałby, gdybyś go wtedy spotkał.

Pomyślałbyś: pomyłony facet z Europy Wschodniej. Z gorączkowym błyskiem w oku i nieokreślonym akcentem.

– Łatwiej zostać trafionym piorunem niż spotkać Gruzina poza Gruzją.

Może zaśmiałbyś się uprzejmie.

– Sam to obliczyłem. – Postukałby się w skroń. – Masz dużo szczęścia, kolego.

Iskry w oczach.

– Ale masz też pecha.

Poczekalby, aż zapytasz dlaczego.

– Bo znacznie łatwiej wygrać w totka. Mogłeś być milionerem, kolego. A spotkałeś mnie.

Zaśmiałby się, donośnie i z serca. A ty z nim.

– Chodź ci poleję w ramach przeprosin.

Po tym telefonie w sprawie Eki trudno było o niej myśleć słowami, a jeszcze trudniej te słowa wymówić. Zawarliśmy więc niepisany pakt: nie będziemy wspominać o matce.

Pakt służył nam nieźle przez jedenaście długich lat, jednak w ubiegłym roku Irakli zaczął łamać umowę. Opowiadał

o miejscach, w których był z Eką, o parkach i kawiarniach, w których spędzali czas, o trasach i ścieżkach, którymi przecinali Tbilisi. Dzień po dniu tracił zainteresowanie przyśłością i sięgał spojrzeniem wyłącznie w przeszłość.

Często sprawdzał loty do Tbilisi. Kilka razy kupił bilety, ale nie zrobił z nich użytku. Nawet się nie spakował. Wyglądało na to, że się czegoś boi.

– Ci ludzie mają pretensje nawet zza grobu.

Nie mówił nam, kim są ci ludzie. Uznaliśmy, że to dawni przyjaciele czy znajomi, których dotknęła nasza ucieczka, bo sami uciec nie mogli.

W ramach kolejnej skazanej na porażkę próby spakował walizkę. A nawet wyszedł z domu. Wrócił po kilku godzinach, zgaszony i zawstydzony. Przyznał, że gdy zapowiedziano lot, po prostu został, gdzie siedział, i patrzył, jak wszyscy inni wsiadają. Gdy wezwano go przez głośniki, wstał i wyszedł.

A jednak z każdą próbą posuwał się coraz dalej, aż pewnego dnia pojechał na Heathrow i nie wrócił. Odezwał się dopiero po wylądowaniu w Tbilisi. Pierwsze wrażenia relacjonował nerwowo, bez ładu i składu, jakby nie umiał zapanować nad emocjami.

– Nie wierzę własnym oczom, po prostu nie wierzę – mówił przez telefon.

W co dokładnie nie może uwierzyć – wyjaśnić nie umiał. Sandro i ja machnęliśmy na to ręką na dwa miesiące. Obaj byliśmy po dwudziestce, mieliśmy swoje życie i nieszczęśliwie potrzebowaliśmy dawno utraconej ojczyzny.

Tymczasem telefony i mejle od Irakiego trafiały się coraz rzadziej, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Do zmiany podejścia zmusił nas jego ostatni mejl.

Chłopcy moi,
zrobiłem coś, czego nie mogę odwrócić.

Muszę się stąd wydostać, zanim ci ludzie mnie złapią. Może w górach będę bezpieczny.

Zostawiłem tropy nie do usunięcia. Nie idźcie nimi.

Kocham was najlepiej, jak umiem.

Irakli

Nic z tego nie rozumieliśmy. Między słowami czało się coś niezdrowego. Ci ludzie? Kto ściga Irakiego? Jakie tropy? A jeśli chodzi o góry, to prawie cała Gruzja jest jedną cholerną górą.

Wydzwanialiśmy i pisaliśmy mejle bez końca, na próżno. Sandro tygodniami nękał gruzińską policję, ambasadę brytyjską i każdego, kto tylko chciał słuchać. Przekonał nawet fundację zajmującą się walką z bezdomnością do rozwieszenia w Tbilisi plakatów ze zdjęciem Irakiego i prośbą o kontakt.

Ogłoszenia z fotografiami zaginionych mają w sobie coś charakterystycznego, jakby mówiły „musztarda po obiedzie”, ale nie powiedziałem o tym Sandrowi. Poszukiwanie Irakiego pochłonęło go bez reszty. Może Irakli widział plakaty, a może nie. Może wyjechał z Tbilisi, a może nie. Nie sposób było się tego dowiedzieć, nie z odległego Londynu. I takim torem pobiegły myśli Sandra. Rzucił się na ratunek, jak zwykle.

Postanowił, że osobiście poleci do Gruzji. Na miejscu nie miał do pomocy żywej duszy – pod naszą siedemnaścieletnią nieobecność cała nasza rodzina wymarła. Babcie, dziadkowie, wujowie, ciotki, kuzynostwo gaśli kolejno jak tandetne lampki choinkowe. Ominęły nas wszystkie pogrzeby. Widok uchodźców wracających do kraju, z którego

zbiegli, budził podejrzenia. Gdy umarła Eka, nie miał już kto stanąć przy jej grobie. Nie wiemy nawet, gdzie się dokładnie znajduje ani kto ją pochował.

Niedomknięta żałoba potrafi człowieka rozjechać. W każdym drzemie pierwotny, głęboko zakorzeniony instynkt: gdy umierają ludzie, których kochamy, musimy zobaczyć dowód. To istota pogrzebów. One są dla naszego dobra.

Może jakiś nienawistny, pradawny stwór rzucił na naszą rodzinę klątwę. A może nie. W każdym razie nasi krewni od strony Eki – ludzie o nazwisku Sulidze – szybko odeszli; rodzina Irakiego – Donauri – została zaś zdziesiątkowana jeszcze przed naszą ucieczką z Tbilisi. To moje dwie połowy. Jestem po części Eką, po części Iraklim. I tak też się nazywam: Saba Sulidze-Donauri.

Potrzeba domknięcia nie została zatem zaspokojona, a ja żyłem w Londynie i stale myślałem o zmarłych. Zastanawiałem się, co robią danego wieczoru, jakie mają plany na weekend. A potem przypominałem sobie, że już ich nie ma, i jak w szklanej kuli ze śniegiem widziałem okoliczności, w których się o tym dowiedziałem. I ból, jakby mi ktoś nadgryzł serce.

Wpadłem w obsesję na ich punkcie. Rozpoznawałem przelotnie ich rysy na obcych twarzach, słyszałem ich głosy przebijające się przez gwar stacji metra. W powstałych ukradkiem szczelinach między moimi myślami martwi ożywali. I to mnie cieszyło.

Wyobrażałem sobie, co w danej sytuacji powiedziałyby Lena czy tam Eka, jak zareagowałby Anzor albo Surik. Ani się obejrzałem, a do mojej głowy zakradły się ich głosy. Rozmawiałem z nimi, gdy tego potrzebowałem, oni zaś dość szybko zaczęli odpowiadać.

Anzor, mój wujek superbohater, dzięki któremu zdobyłem wszystkie praktyczne umiejętności. Poświęcił dwa palce w służbie socjalizmowi, metodą bolesną, bo za sprawą uszkodzonej prasy hydraulicznej w sowieckiej fabryce samochodów. Jego powolny, spokojny głos był głosem rozsądku.

Lena, moja babcia spartanka. Dwie wojny światowe, długotrwałe obcowanie ze stalinizmem, obozy pionierskie, po ostrzale niemieckim kręgosłup ze stali.

Eka, matka, która została, żeby jej dzieci mogły uciec. Gdy rozmawialiśmy, jednakowo krwawiły nam serca.

Surik, nasz sąsiad pijaczek, mój pierwszy kolega. Dla Eki był jak starszy brat i zawsze umiał mnie rozśmieszyć, bez względu na wszystko. Surik odzywał się do mnie, ilekroć miał na to ochotę.

Nino, strażniczka moich najmroczniejszych tajemnic. Moja siostra pod każdym istotnym względem, poza więzami krwi. Jej głos najtrudniej było uciszyć.

Wiedziałem, że utrzymywanie tych prymitywnych karykatur przy życiu, wiecznie na granicy śmierci, jest okrutne. Ostatecznie uciszyłem je na dobre, jedną za drugą. Zabolało nas to tak samo.

Zmierzam do tego, że na Sandra nie czekał na lotnisku komitet powitalny. Ale on nie mógł zostawić tam Irakiego. Mój brat miał wtedy niespełna trzydzieści lat i bez zapachu piastował pozbawioną perspektyw funkcję w skostniałej odnodze służby cywilnej. Mieszkał w wynajmowanym mieszkaniu, a na jego majątek składały się książki. Któregoś dnia zastopował więc swoje londyńskie życie, spakował torbę i kupił bilet do Tbilisi – w jedną stronę. I wyjechał.

Początkowo rozmawialiśmy codziennie. Opowiadał, ile trudu kosztują go próby namierzenia Irakiego. Ponieważ na-

zwisko Sulidze-Donauri miał wydrukowane w lśniącym brytyjskim paszporcie, policja w Tbilisi nie rwała się do pomocy.

Irakli też legitymował się brytyjskim paszportem i wkrótce stało się jasne, że bez nacisków ambasady brytyjskiej policja nawet nie kiwnie palcem, ambasada zaś nie kwapiła się do wyręczania służb gruzińskich.

– Czasem ludzie po prostu znikają – powiedział funkcjonariusz do Sandra, z uśmiechem na twarzy.

„Był jakiś dziwny” – powiedział mi brat.

I rozpoczął poszukiwania na własną rękę, w naszej dawnej dzielnicy, w przykurzonym labiryncie Sololaki, błakając się po zrujnowanych uliczkach, między rozsypującymi się budynkami. Dowiedział się, że kogoś podobnego do Irakiego widywano w szemranych miejscowych knajpach. Ale nic z tego nie wynikło.

Sandro rozwieszał kolejne plakaty. Nadał nic. Właściciel jednego z hosteli twierdził, że rozpoznaje Irakiego na zdjęciu. Może zatrzymał się u niego kilka miesięcy wcześniej, a może nie. Znów ślepa uliczka.

I jeszcze sklepikarz, który z całą pewnością rozpoznał Irakiego, ale tylko dlatego, że ten wpadł do jego sklepiku w poszukiwaniu sprzętu do biwakowania.

– Wyglądał, jakby mu się w głowie pomieszało – powiedział sklepikarz. – Kto by szukał namiotów i śpiworów tam, gdzie sprzedaje się gazety i papierosy?

Sandro zaczął wspominać o powrocie do Londynu. Od tygodni całkiem sam poszukiwał w Tbilisi śladów, które mógł tam zostawić Irakli parę miesięcy wstecz. Rozglądał się rozpaczliwie za jakąś wskazówką, tropem, czymś, co dodałoby mu sił. I chyba to znalazł, bo nastąpił zwrot akcji.

Mejle od Sandra, zupełnie jak te od Irakiego, przychodziły coraz rzadziej. Nie chciał rozmawiać przez telefon.

Sprzedał laptop i pisał tylko z kawiarenek internetowych.
A nawet wtedy jedynie po kilka słów.

Ostatni mejl od niego głosił:

Znalazłem nikły trop. W dawnym mieszkaniu Irakiego
w Sololaki. Nie mam czasu wyjaśniać.

Napiszę, jak się czegoś dowiem.

Sandro

I tyle – więcej się nie odezwał. Mijały tygodnie. Moje gorączkowe mejle i telefony do gruzińskiej policji, ambasady brytyjskiej i szpitali w Tbilisi nic nie dały. Cały czas wiedziałem, co trzeba zrobić. Tylko nie chciałem się z tym mierzyć...

Co tu dużo mówić: mierzę się właśnie w tej chwili. Siedzę w taksówce, w samym środku Tbilisi, w Gruzji. Szofer – Nodar mu na imię – pali jednego za drugim, jakby od tego zależało jego życie. W tym mieście dzieje się coś dziwnego. Mam wrażenie, że ominęła mnie jakaś kluczowa wiadomość – wielka niewiadoma. Jak na tę nocną godzinę na ulicach jest masa ludzi. Stoją pod latarniami zbici w grupki, palą, dyskutują i oglądają się za siebie.

Im bardziej zagłębiany się w miasto, tym robi się dziwniej. Na rogach ulic stoją puste radiowozy, w ciszy migają koguty. Nodar mija rząd zaparkowanych pikapów, na parkach piętrzą się pokryte błotem zwierzęce ciała, jakby psy.

– To psy? – pytam.

Nodar wygląda przez przednią szybę i nie zwraca na mnie uwagi. Przed nami kolejny radiowóz z migającym kogutem. Za samochodem błysk rozkołysanej tafli wody w miejscu, gdzie nie powinno jej być. Nodar skręca gwał-

townie, żeby wyminąć wielką połąć mułu, która jakimś sposobem znalazła się na drodze. Wilgotne podłoże tłumi stukot zawieszenia. Wtedy podnoszę wzrok i go widzę.

Tuż przed nami stoi na drodze nosorożec. Nodar marszczy brwi i daje po hamulcach. Zwierzę w osobliwie ludzki sposób odwraca wzrok od reflektorów samochodu. Za nosorożcem widać zniszczoną witrynę sklepu, całą w szkłe i chromie. Swatch – głosi pęknięty szyld. Migotliwa zawartość niewielkiej wystawy wylewa się na chodnik. To ani chybi sprawka nosorożca.

– Ja pierdolę, nosorożec? Na drodze?

W bezpiecznej odległości stoi zwarta grupka, ludzie przyglądają się zwierzęciu. Wychodzi policjant, daje ręką znak, że możemy przejechać.

– To nie nosorożec. To Borys.

– Że jak?

– Hipopotam Borys.

Nodar uśmiecha się cierpko.

– Nie, chodzi mi o to, co on tu robi.

Nodar odwraca do mnie łysiejącą głowę.

– A, to ty nie wiesz? – mówi i chichocze.

– Czego nie wiem?

– Straszny bajzel, bracie. Wczorajsza fala powodziowa zalała zoo. Wszystkie zwierzęta puciekały. Wilki biegają wolno przy lotnisku, wszędzie kręcą się strusie, w Kurze są pingwiny, a gdzieś w Sololaki tygrys.

Nodar, ze zwisającym z warg papierosem, mruży oczy i kręcąc kierownicą, powoli objeżdża hipopotama Borysa.

– Witamy w Gruzji.

W moim oknie widać boczną część ciała Borysa. Jest rozmiarów niewielkiej furgonetki. Czuję jego woń. Wychylam się i przesuwam palcami po szarej skórze, podobnej w doty-

ku do kory drzewa. Borys odwraca głowę i prezentuje swoje ogromne, rzadko rozmieszczone zęby i czarne oczy rozmia-
rów pięści.

– Widziałem już tych kretynów, jak dwie godziny temu jechałem na lotnisko. Chyba całą noc będą zaganiać to nie-
szczęsne zwierzę.

Nodar chrząka i zmienia bieg. Samochód się trzęsie, ale
jedzie dalej.

– Mieszkam tu niedaleko. Jeszcze z pięć minut, bracie.

Bierze zakręt i wtedy rozlega się głośny trzask. Odwra-
cam się i widzę, że na karku hipopotama wykwitł niewielki
czerwony kwiatek na białej lodydze. Strzałka ze środkiem
usypiającym. Borys nie reaguje, nawet się nie wzdryga.
Idzie za naszym samochodem, a jego czarne jak smoła oczy
wydają się mówić: „Uwaga”.

Zaraz, nie wspomniałem jeszcze, jak się w ogóle znalaz-
łem w Tbilisi.

W Londynie, w swoim niewielkim współdzielonym miesz-
kaniu przy Holloway Road, spakowałem się na wyprawę
w nieznane. Gdy skończyłem, usiadłem pośród błyszczą-
cych ulotek, papierów, firmowych długopisów i breloczków
oraz całej reszty zalegającego na wszystkich poziomych po-
wierzchniach ekwipunku wędrownego agenta.

Moja praca polegała na przemierzaniu kraju i obwieszcza-
niu ludziom złej nowiny. W klimatyzowanych służbowych
salach konferencyjnych mówiłem swoim słuchaczom, że
pewnego dnia umrą. Tak, pani w ostatnim rządzie – pani też.
Komiwojażer dnia ostatecznego, tak nazywał mnie Sandro.

Ale jak przystało na porządnego domokrażcę, miałem
w zanadrzu cudowne specyfiki. Oferowałem konta emery-
talne, ubezpieczenia na życie, fundusze inwestycyjne i ra-

chunki oszczędnościowe. Bezużyteczne akronimy, stopy zwrotu i zyski, a wszystko to sprzedawane z korzyścią dla mojego pracodawcy. Ale sprzedawane też po to, żeby nie zdarzyło się, że ludzie naprawdę wezmą sobie do serca mój przekaz i zaczną odchodzić z pracy.

Co wieczór zmywałem z siebie to wszystko pod prysznicem, jak górnik zmywa z ciała pył węglowy. Nadal wierzyłem, że za pomocą jakiejś sprytnej sztuczki z bajki rodem zdołam przechytrzyć system.

Ale to była tylko marna próba ucieczki od rzeczywistości. Oszukiwałem samego siebie. Cekał mnie powrót do miejsca, o którym tak usilnie próbowałem zapomnieć.

Podczas długiej pielgrzymki metrem na lotnisko Heathrow, położone gdzieś na zadupiu przy samym końcu Piccadilly line, zażyłem tabletki przeciwlękowe, które podarował mi mój współlokator, żeby łatwiej było mi usnąć w samolocie. Dwie zawinięte w bibułę pigułki o niewinnie błękitnej barwie. Między nieznanymi stacjami – Boston Manor, Osterley i kolejnymi wariantami Hounslow – postanowiłem zwiększyć dawkę i łyknąć obie. Liczyłem, że uspokoją moje roztrzępote serce.

Leki działały stopniowo, ale mocno. Nim dotarłem na Heathrow, z moim kręgosłupem zaczęły się dziać cuda. Przepłynąłem jakoś przez strefę wolnocłową, znalazłem się w kolejce przy wyjściu numer 19A i zadurzyłem się w kobiecie sprawdzającej karty pokładowe. Wyglądała kubek w kubek jak porcelanowa lalka: blada skóra, karmazynowa szminka, puste oczy.

Zwróciła się w moją stronę. Jej wzrok się wyostrizył i skupił na mnie. Nic dziwnego. Stałem z na wpół stopniałym sercem i patrzyłem na nią nieruchomym spojrzeniem. Zmarszczyła brwi, uroczo i ledwie zauważalnie, jakby nadchodził

subtelny zwiastun burzy. Myślałem tylko o tym, że chyba zaraz złożę na tych miniaturowych czerwonych wargach soczysty, gorący pocałunek, i zostanę z miejsca aresztowany.

– Czy pan się dobrze czuje? – Otaksowała mnie spojrzeniem od stóp do głów.

– Boję się latać. Pigułka nasenna. – Wskazałem na swoją głowę. – Zdaje się, że zaczyna działać.

Jej uwaga umknęła jak słońce wsuwające się za chmurę.

– To proszę lepiej szybko zająć miejsce.

Obdarzyła mnie obojętnym uśmiechem i gestem wskazała wyjście. Zrobiłem kilka kroków w tamtą stronę, zatrzymałem się, skorygowałem trasę i podjąłem kolejną próbę. Nawet tego nie zauważyła.

Gdy odnalazłem swoje miejsce, pigułki naprawdę zaczęły działać. Samolot wystartował, a ja zamknąłem oczy i wymazałem cały świat i wszystko, co się w nim znajduje.

– Przepraszam. – Ktoś trącił mnie w ramię. – Proszę pana!

Kiedy otworzyłem oczy, widziałem tylko swoje kolana. Zamiast głowy miałem bryłę betonu, wargi zlepila mi zaschnięta ślina.

– Przepraszam pana. Lądujemy w Kijowie. Proszę się wyprostować i ustawić fotel w pozycji pionowej.

Lotnisko w Kijowie było opustoszałe, jeśli nie liczyć pojedynczych nałogowców czuwających w kabinach dla palaczy. W 2010 roku wizyta w tym wzniesionym na początku lat pięćdziesiątych porcie była jak podróż w czasie do epoki ZSRR, tyle że brakowało flag z sierpem i młotem i portretów Lenina. W oczekiwaniu na kolejny lot utknąłem tam na wiele godzin.

I to w tym miejscu po raz pierwszy odczułem, że coś jest nie tak. Gdy wędrowałem pozbawionymi okien korytarza-

mi o ścianach z surowego betonu, ktoś szedł za mną. Odpychający, ponury mężczyzna w skórzanej kurtce. Nie miał przy sobie niczego, żadnych toreb ani zakupów. Wydało mi się to dziwne.

Usiadł na przeciwległym krańcu strefy gastronomicznej i patrzył, jak wypycham do ust wystudzoną kapitalistyczną kanapkę z Burger Kinga. Sam nic nie jadł. Potem poszedł za mną do kabiny dla palących, gdzie każdy z nas wypalił trzy papierosy z rzędu. Gdy się odezwał, dopiero w połowie zdania pojąłem, że mówi do mnie:

– ...lecieć do Tbilisi?

– Że co, przepraszam?

Rzucił mi smętne spojrzenie, jakby zrobiło mu się przykro z powodu czegoś, co jeszcze nie zaszło. W kłębach papierosowego dymu nie widziałem go wyraźnie, ale zdaje się, że jedno oko miał niebieskie, a drugie zielone.

– Pytałem, czy musisz lecieć do Tbilisi.

– Słucham? Tak. A co?

Pokręcił głową.

– Tbilisi to nie miejsce dla ciebie. Znajdziesz tam tylko kłopoty, przyjacielu. Zawróć, wracaj do siebie.

– Kim jesteś?

– Nikim.

Zduślił wypalonego do połowy papierosa i wyszedł. Próbowałem iść za nim, ale przepadł. Później, kiedy samolot kołował, widziałem go przez okienko, rozmawiał z kimś z obsługi lotniska. Uznałem, że to jakiś cierpiący na niedobór snu lotniskowy wariat.

Otoczony ludźmi szemrzącymi sennie po gruzińsku, przez całą drogę do Tbilisi siedziałem z otwartymi oczami i patrzyłem na końcówkę skrzydła migającą pośród nieprzebranego mroku samotną czerwienią. Stewardesa zaczęła

obchód: zatrzymywała się przy każdym rzędzie i mówiła coś cicho po gruzińsku. Gdy dotarła do mnie, strzeliła oczami w bok, jakby próbowała sobie przypomnieć coś zapamiętanego w dzieciństwie. Potem wyprostowała się i postarała wyglądać na opanowaną, jakby się przymierzała do wyrecytowania wiersza.

– Czy wszystko u pana w porządku? – odezwała się po angielsku, ze wschodnim akcentem.

Przyciągnęła tym uwagę kilkorga pasażerów. Spojrzałem na swoje ubrania i zacząłem się zastanawiać, dlaczego uznała, że akurat ja mówię po angielsku.

– Tak, dziękuję – odpowiedziałem po gruzińsku.

Spojrzała na podkładkę z kartką, którą trzymała w dłoniach.

– Czy pan Sulidze-Donauri?

Rozejrzałem się, jakbym dopiero co widział pana Sulidze-Donauriego i nagle stracił go z oczu.

– Yyy... tak.

– Dziękuję, życzę przyjemnego lotu – powiedziała i odeszła.

Nie zapytała o nazwisko nikogo innego. Tylko mnie. Mogłem się domyślić, że coś nie gra.

Gdy koła samolotu dotknęły płyty lotniska w Tbilisi, wszyscy zaczęli klaskać. Gdy samolot kołował w stronę terminalu, w oddali mignęło mi skupisko światel. Tbilisi, moje dawno utracone rodzinne miasto. Gdy wpatrywałem się w nie osłupiały, nagle mnie zmroziło, jakby żołądek wypełnił mi się lodem. Wtedy po raz pierwszy dotarło do mnie, jak niedorzeczna jest ta jebana wyprawa.

Nocne powietrze czuć było rozgrzanym asfaltem i ciekającym gazem. Na lotnisku w Tbilisi byłem tylko raz, w wieku ośmiu lat. Wyjeżdżałem wtedy, targając pochodzącą chyba z czasów stalinowskich walizkę, skórzaną, spiętą

dwoma paskami. Pamiętam, że rzuciłem ją na wózek, dumny, że starczyło mi siły.

Byli tam wszyscy – Irakli, Eka, Sandro, nawet babcia i wujek. Wówczas ostatni raz byliśmy razem.

Co to musiała być za noc, wtedy, gdyśmy wyjeżdżali. Nawet sobie nie wyobrażam, jakie myśli chodziły im po głowach, gdy wysyłali trzech z nas w bliżej nieokreślone, odległe miejsce, gdzie sprawy mają się lepiej. Tylko to powtarzali: tam sprawy mają się lepiej.

Jakie sprawy? Co to znaczy mieć się lepiej? Nie rozumiałem, dlaczego nie mogę po prostu zostać w domu.

Gruzja oderwała się od Związku Radzieckiego w 1991 roku. O władzę nad nowo utworzoną republiką walczyły powołane naprędce partie. Na konfrontację nie trzeba było długo czekać. Jeszcze tego samego roku zimą rozpętałyśmy na oślep zacieklą, chaotyczną wojnę domową.

Gdy pół roku później przybyliśmy nocą na lotnisko, razem z setkami innych osób, których krewni mieli na twarzach te same wymuszone uśmiechy co nasi, Tbilisi było już miastem z koszmaru. Bez prądu, bez gazu, bez bieżącej wody. Człowiek wychodził po pieczywo i nie wiedział, czy dostanie chleb, czy kulkę. Podobno w tamtym czasie uciekła połowa populacji kraju. Większość na zawsze.

Moja rodzina, oświetlona tak jasno lotniskowymi jarzeniówkami, sprawiała wrażenie zawstydzonej lichością swoich ubrań, brudem na pomarszczonych od trosk twarzach. Wyglądali na zmartwionych i niepewnych. Kruchych. Jedynie mgliście przeczuwałem, że dzieje się coś ważnego, tymczasem wokół mnie ludziom pękały serca.

Do samolotu, na który czekaliśmy, mieliśmy wsiąść tylko Irakli, Sandro i ja. Reszta rodziny miała nas więcej nie

ujrzeć. Tyle że jeszcze o tym nie wiedzieli. Może poza Eką: gdy Sandro siedział jej na kolanach, dostrzegłem dziwny wyraz na jej twarzy. Może wiedziała.

Niemal dwie dekady później znalazłem się z powrotem na tym samym lotnisku. Podczas kontroli dokumentów gość za kontuarem spojrzał na mój paszport i uniósł brew, a potem podniósł słuchawkę i wymówił moje nazwisko. Po kilku sekundach zjawił się przy mnie strażnik z przyciśniętym do piersi karabinem szturmowym. Wyprowadził mnie z kolejki do niewielkiego pomieszczenia, w którym surowa kobieta w rękawiczkach chirurgicznych przeglądała zawartość mojej walizki.

– Wrywkowa kontrola – rzuciła, ledwie podnosząc wzrok. – Proszę usiąść.

Patrzyłem, jak obmacuje kolejno moje rzeczy. Stertę ubrań zostawiła na stole, po czym zdjęła z trzaskiem rękawiczki i wrzuciła je do kosza.

– Cel wizyty?

– Turystyczny.

– Turystyczny – powtórzyła z kamienną twarzą.

– Tak.

Uniosła brew.

– Proszę za mną.

Zaprowadziła mnie do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie tęgawy technik w kitlu za małym o dwa rozmiary pobrał ode mnie odciski palców.

– Potrzebujecie moich odcisków?

– Wrywkowa kontrola – rzuciła stojąca za moimi plecami kobieta.

Technik spojrzał na nią sennie, po czym przekierował wzrok na mnie.